

Krzysztof Kłosiński

Dla M.P.M.

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (52), 120-130

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dla M. P. M.

Krytyk przedstawiający się za pośrednictwem „dekonstrukcjonistycznych” proklamacji, tez czy teorematów, może praktykować, jeśli wolno mi to tak ująć, najbardziej konwencjonalną z lektur. I na odwrót. A między tymi skrajnościami, dokładnie wewnątrz każdej lektury, sygnowanej przez tę samą osobę, pozostaje pewna nieadekwatność, czy nawet pewna niejednorodność, której nie da się zredukować.¹

„Nie dysponujemy – przynajmniej dzisiaj – instrumentami, które pozwoliłyby wykonać, zdawać by się mogło, zwykły i prosty krok poza metafizykę”². Chodzi oczywiście o instrumentarium językowe. Jak pisze Bogdan Banasiak, „Derrida nie odrzuca, nie usuwa metafizyki, lecz dokonawszy desantu, poddaje ją dekonstrukcji, dywersyjnemu «przemieszczeniu». Pozwala nam zachować nasze iluzje, nawet podkreśla ich pewną (choć ograniczoną) konieczność i użyteczność, nie pozwala jednak brać ich za rzeczywistość, substancjalizować”³. Dekonstrukcja byłaby w tym ujęciu właśnie „dywersją”, „demontowaniem od wewnątrz” systemu, poza który nie można zrobić owego „kroku”. W swej monografii Banasiak pyta tak: „Czy zatem totalizujący system ma w ogóle jakieś Zewnątrz? Jakież Inne?” i odpowiada następująco: „Inne nie jest na zewnątrz, wprost przeciwnie, to sama metafizyka jest inna, zawsze podwójna, dwoista, rozdwojona, różna od samej siebie, jest swym własnym Innym”⁴.

I tutaj powstaje kwestia nie tyle jaka, kwestia „punktu archimedesowego”. Mówiąc dosadnie: jak „dobrać się” do owego – jak powtarzają zgodnie Banasiak i Markowski – „swojego Innego” (s. 124)⁵, jak dobrać się do metafizyki, skoro nie można zrobić poza nią „kroku”? „Moje podstawowe pytanie – wyznaje cytowany przez Markowskiego Derrida – brzmi: jak filozofia jako taka może odnosić się do siebie samej jako różnej od siebie [*other than self*], tak by mogła ona nad sobą

¹ J. Derrida *This Strange Institution Called Literature: An Interview with Jacques Derrida*, w: *Jacques Derrida. Acts of Literature*, ed. D. Attridge, New York 1992, s. 51.

² B. Banasiak *Filozofia „końca filozofii”*. *Dekonstrukcja Jacques'a Derridy*, Warszawa 1995, s. 169.

³ Tamże, s. 168.

⁴ Tamże, s. 169 i 176.

⁵ Wszystkie cytaty z książki Michała Pawła Markowskiego *Efekt inskrypcji. Jacques Derrida i literatura*, Bydgoszcz 1997 zaznaczono numerem strony w nawiasie.

rozmyślać i siebie kwestionować w jakiś oryginalny sposób?” (s. 139).

Dlatego Rodolphe Gasché w najpoważniejszej chyba poświęconej Derridzie monografii (*Jacques Derrida and the Philosophy of Reflection*) umieszcza tego ostatniego na końcu długiej drogi „filozofii refleksji”. Już sam metaforyczny tytuł rozprawy Gaschégo obrazuje zasadniczą kwestię: *The Tain of the Mirror*, czyli „podlewa” zwierciadła, to owa srebrzanka po drugiej stronie, odbierająca szybko jej przezroczystość, która umożliwia wyświetlające się na niej odbicie, zamieniając szybę w taflę lustra. Kluczowe, choć zarazem nigdzie ani u Gaschégo, ani u Banasiaka, ani u Markowskiego nie poddane osobnej refleksji, jest tutaj owo „przemieszczenie” metafizyki, przemieszczenie dyskursu filozofii, które jest dekonstrukcją. Dekonstrukcja to przemieszczenie, które już tam, w owym dyskursie, we wszelkim dyskursie, jest.

Dekonstrukcja – pisze Markowski – „rządzi paradoksalną ekonomią sensu wszystkiego, co jest” (s. 123); „coś, co jest (znak, zdarzenie, podmiot, pojęcie), zawsze jest już (*déjà*) jako swoje Inne, zawsze odsyła do czegoś innego, wplątując się w nie zakończone starcie różnicujących się sił («dekonstrukcje nie zaczynają się i nie kończą» [...]), odwlekając jego szansę na pełnię samouobecnienia i możliwość określenia w «zdaniu oznajmującym w trzeciej osobie [typu] ‘S jest P’»” (s. 124).

Oto precyzyjnie zapisana kondycja dyskursu, który chciałby być wierny założeniom dekonstrukcji. Wyobraźmy sobie takie mówienie (pisanie), z którego należy kategorycznie wykluczyć zdania typu ‘S jest P’, któremu nie wolno w ogóle mówić „jest”, „istnieje”, „są”. Bowiem „w istocie” (tak też nie wolno powiedzieć: bo ‘istota’ to coś, co ‘jest’ bardziej od ‘nieistotności’, przygodności) zamiast orzecznika ‘jest’ należy opowiedzieć całą historię: „jest już... odsyła do... wplątując się w... odwlekając...”. Widzicie, jak p r a c u j e tutaj cudzysłów, spełniając rolę ostrzeżenia, zastrzeżenia, autokorekty, ostrogi, która należy się dyskursowi, gdy ponosi go „jest”. Ale przecież „jest” wcale nie daje się wyeliminować: można go przekreślić, wziąć w cudzysłów, a jednak pozostanie, fundując predykatywną funkcję języka. Taka czy inna forma cudzysłowu, uogólniony cudzysłów, okazuje się nie do zastąpienia. I dlatego w pewnej chwili Derrida mówi nawet o współczesnym *quotation market*, czego nie umiem przetłumaczyć odpowiednim kalam-burem, a co oznacza „urynkowanie” cudzysłowu, a więc jego niestanną cyrkulację. Kiedy sięgamy po cudzysłów? Wtedy, gdy chcemy zaznaczyć, iż nie używamy jakiegoś sformułowania, ale je przytaczamy. Otóż – argumentuje Derrida – „forma dekonstrukcji jest taka, że nie można dłużej używać na serio tradycyjnych słów. Nie są już one

nigdy u ż y w a n e, raczej p r z y w o ł y w a n e”⁶. Oczywiście, największe zagęszczenie cudzysłówów jest tam, gdzie mówi się o „istocie”, bowiem „im poważniejsze i bardziej ważne są te słowa, tym niezbędniejsze staje się powołanie się na «przywołanie», a nie «użycie». Jakieś «nie używać» jest odtąd doczepione do każdego pojęcia, każdego słowa. Nie używać tego pojęcia, tylko je przywoływać”. W tym miejscu francuski filozof posługuje się przykładem dla nas poniekąd całkiem – mimo wszystkich przemian ustrojowych – niezrozumiałym: kranu z napisem: „woda nie do picia”. Rzecz w tym, iż takiego słowa w cudzysłowie „nie można sobie wziąć, ani odnieść do siebie, nie można go skonsumować”. W końcu cudzysłów traci swą jednoznaczność, a różnica ulega rozbiórce: to już „inne pisanie samych cudzysłówów”, które „budząc zdwojoną czujność, znalazłszy się w podwójnym cudzysłowie i pomysłowo zdwajając cudzysłowy, destabilizują nawet opozycję między dyskursem z cudzysłowem i bez cudzysłowu, przywołaniem i użyciem, oraz całym systemem skojarzonych z nimi wartości; czyli całą filozofią, całą teorią”. Ta nowa „teoria”, nowa „filozofia” musi pogodzić się z nieodwracalnością cudzysłowu, obywać się bez „przywracania tego, co jest odwracane, a zatem bez usunięcia cudzysłówów”.

Efektom *quotation market* jest rezerwa, powszechna ironia, a więc w końcu – przyznaje Derrida – „coś nie do wytrzymania”, coś co budzi lęk i usprawiedliwia „dyskurs obronny”, który atakuje dekonstrukcję (ową „bezcelową grę”) za brak powagi, jaka przystoi teorii, nauce, za brak politycznej odpowiedzialności. I w owym starciu z dyskursem cudzysłowowym powstaje jakiś nowy metajęzyk, biorący jednak pod uwagę niemożliwość metajęzyka, zadeklarowaną w słynnym zdaniu („jest to dosłowny cytat z obydwu naraz: Heideggera i Lacana”): „Nie istnieje żaden metajęzyk”, które przecież – mówi Derrida – samo ma charakter metajęzykowy. Weźmy taki przykład: ktoś może nam zarzucić, że dając wszędzie cudzysłów, oddzieramy słowa od rzeczy, że pływając się w formalistycznych grach językowych, uciekamy od rzeczywistości, od historii (powagi, odpowiedzialności). Tymczasem upowszechnienie cudzysłówów – mówi Derrida – „raczej wyostreza poczucie h i s t o r i i”, a ci, co nam stawiają podobne zarzuty, „tak łatwo myślą, że wiedzą o czym mówią, odwołując się do «historii», «społeczeństwa», «rzeczywistości»”, bo nie biorą w tym momencie pod

⁶ J. Derrida *Some statements and truisms about neologisms, newisms, postisms, parasitisms, and other small seismisms*, w: *The States of „theory”*. History, art, and critical discourse, ed. D. Carrol, New York 1990, s. 74, następane cytaty ze s. 75–76.

uwagę tego, że właśnie owe pojęcia mają swoją historię. Jakiż może być status „historii” pojęcia „historii”? Czyż jednak rozprawiając spokojnie o historii pojęcia „historii”, czyli zajmując ponadhistoryczne położenie wobec tego, co rozważane jako historyczne, nie wracamy tam, dokąd powrót sami sobie odcieliśmy? Czy nie tak właśnie postępują „dekonstrukcyoniści”? Czyniąc usiłowania „zmierniczące do odzyskania, ograniczenia, znormalizowania” dekonstrukcji, aby stała się miejscem, w którym znów będzie się u siebie „z własną metodą, własnymi regułami, własnymi kryteriami rozróżnienia między użyciem i przywołaniem, z powagą własnej dyscypliny oraz własnych instytucji”. Otóż ta cała – powtórzmy – „praca” cudzysłowu dobrze oddaje sens sformułowania o „paradoksalnej ekonomii sensu” wszystkiego, co jest już jako swoje Inne. Można by powiedzieć, że ową ekonomię demonstruje w swego rodzaju doświadczeniu, które może być udziałem każdego, że ją – wrócimy do tego sformułowania – „inscenizuje”. Czymże jest bowiem cudzysłów, jak nie owym „przemieszczeniem”, bez którego nie ma dekonstrukcji?

Czemu mowa tutaj o ekonomii? Markowski cytuje zdanie G.C. Spivak, które mówi, że ekonomią jest „tożsamość ukonstytuowana przez różnicę” (s. 116). Trochę to określenie zbija z tropu, jako że „konstytucja” każe myśleć o statyczności: gruncie, ugruntowaniu na podstawie, która jako „podstawa” stoi. Derridzie wszak chodzi o zmagające się ze sobą siły, o dynamikę przeto, o ruch. Także o taki „ruch”, jaki możemy wszyscy zobaczyć dzięki *quotation market*, dzięki nieustannemu „ruchowi” zakładania i usuwania cudzysłowu. Dlatego znacznie lepiej objaśnia Derridowską „ekonomię sensu” inne przytoczenie, tym razem z *Dissemination*, które w tłumaczeniu Markowskiego brzmi:

Ekonomiczny ruch śladu zakładający jednocześnie swe znamię [*marque*] i zamazanie – margines swej niemożliwości – wedle stosunku, którego żadna spekulatywna dialektyka tego samego i innego nie mogłaby opanować. [s. 175]

Proponowałbym nieco odmienne tłumaczenie (biorąc pod uwagę i to, że Markowski urywa cytat przed zakończeniem zdania kropką):

Ekonomiczny ruch śladu, który zakłada zarazem jego zaznaczenie i jego wymazanie – margines [ale też może, skoro mowa o ekonomii: „marżę”, „zysk z”] jego niemożliwości – w takiej relacji, jakiej nie mogłaby przewyciężyć żadna dialektyka spekulatywna tego samego i innego, już choćby dlatego, że pozostaje ona działaniem przewyciężania.⁷

⁷ J. Derrida *La dissemination*, Paris 1972, s. 11: „Mouvement économique de la trace impliquant à la fois sa marque et son effacement – la marge de son impossibilité – selon un rapport qu’aucune dialectique spéculative du même et de l’autre ne pourrait maîtriser pour cela même qu’elle demeure une opération de maîtrise”.

Przypomnijmy, że w tym miejscu Derrida robi przypis do swej rozprawy poświęconej Bataille'owi i jego rozróżnieniu dwóch ekonomii: ograniczonej i ogólnej. Jeśli poszlibyśmy tym tropem, trzeba by przywołać kategorię „suwerenności”, a także „pisania suwerennego”, które jest dokonaniem przez Bataille'a przemieszczeniem Heglowskiego „panowania” z *Fenomenologii ducha* (dialektyka pana i niewolnika). Dialektyka Hegla oznacza „p o d d a n i e się oczywistości sensu”⁸, któremu nic nie może zostać przeciwstawione tak, aby nie dało się odzyskać („przezwyćżyć”) ruchem dialektycznej negacji określanej jako *Aufhebung*. W ten sposób „odzyskany” zostaje sens śmierci oraz wszelkiej utraty i zaniku, także jako negacja, jako bezsens, czyli nieobecność sensu. Nawet kiedy go „nie ma” w bezsensie, „jest” przecież za sprawą dialektycznej negacji „odzyskany” właśnie jako nieobecność sensu. Tak działa proces znoszenia-odzyskiwania – *Aufhebung*. Mówiąc inaczej, sens jest niedekonstruowalny, nie daje się „przemieścić”, bo nie ma swojego Innego, bo dialektyka nie pozwala dostrzec nie-sensu, bezsensu jako czegoś innego niż nie-obecność sensu.

Pojęcie *Aufhebung* (pojęcie *par excellence* spekulatywne, mówi Hegel, to samo, z którego język niemiecki czerpie swój przywilej nieprzekładalności) jest śmieszne, jako że oznacza działanie dyskursu, który dostaje zadyszki, usiłując przywłaszczyć sobie wszelką negatywność, zamienić wystawienie się na ryzyko w i n w e s t y c j ę, z a m o r t y z o w a ć absolutny wydatek, nadać sens śmierci, nie widząc zarazem nieugruntowania bezsensu, z którego czerpie i w którym wyczerpuje się zapas sensu. [E, s. 377]

Jak wiadomo, Bataille zarzuca takiemu zamknięciu się w sensie całkowite zamknięcie się wobec doświadczenia zupełnej utraty: życia, sensu, na doświadczenie *sacrum*, na przykład. Na doświadczenie Innego.

Ślepią plamką heglizmu, wokół której może zorganizować się przedstawienie sensu, jest ów punkt, w którym destrukcja, zniesienie, śmierć, ofiara tworzą wydatek na tyle nieodwracalny, negatywność na tyle radykalną – należy tu powiedzieć bez r e s z t y – że nie można nawet ich określić jako negatywności w pewnym procesie, czy systemie: taki punkt, w którym nie ma już ani procesu, ani systemu. W wypowiedzi (jedność procesu i systemu), negatywność jest zawsze odwrotnością i dopełnieniem pozytywności. Nie można mówić, nigdy nie mówiono o negatywności inaczej niż poprzez owo wplecenie w sens. Ale działanie suwerenne, ten punkt wyczerpania zapasu, nie jest ani pozytywne, ani negatywne. Można je wpisać w wypowiedź, rozdławiając orzeczenia lub nakładając na siebie sprzeczności, co wykracza poza logikę filozofii. iE. s. 380]

⁸ J. Derrida *De l'économie restreinte a l'économie générale. Un hegelianisme sans réserve*, w: *L'écriture et la différence*, Paris 1967, s. 377. Dalej oznaczone jako E z podaniem numeru strony.

Proklamowana przez Bataille'a suwerenność – mówi Derrida – „daje ekonomii rozumu swój element, swoje otoczenie, swoją nieograniczoną obwódkę bezsensu” (E, s. 382). Dzieje się tak, przypomnijmy, dzięki „ekonomicznemu ruchowi śladu”, który się – w odróżnieniu od znaku – zaznacza i wymazuje, bez dialektycznego odzyskania w *Aufhebung*, czyli w zatracaniu się „bez reszty” (do czego nawiązuje podtytuł eseju Derridy: *Heglizm bez reszty*). Tak działa „poetyckie” lub „ekstatyczne”, czyli „to, co w k a ż d e j w y p o w i e d z i może się otworzyć na absolutną stratę jej sensu, na (nie)ugruntowanie *sacrum*, bezsensu, niewiedzy lub gry” (E, s. 382). W ten sposób wypowiedź – powtórzmy – „wykracza poza logikę filozofii”. Dokonuje więc owego „kroku”, o którym mówimy od początku.

I tutaj docieramy do głównej tezy rozprawy Markowskiego, która brzmi: dekonstrukcja nie byłaby możliwa „bez celowego, strategicznego uznania literatury za to, co wobec filozofii inne i co, wymykając się władzy filozoficznego dyskursu, dokonuje w jego granicach nieobliczalnej dywersji” (s. 141). Dlatego w podtytule książki można by równie dobrze napisać – zamiast *Jacques Derrida i literatura* – formułę: *Dekonstrukcja i literatura*. Mówiąc jeszcze inaczej: literatura pełni wobec dekonstrukcji funkcję owego „przemieszczenia”, którą pokazaliśmy przed chwilą, powołując się (za Derridą: było to więc przywołanie użycia albo użycie przywołania) na rolę cudzysłowu. Bardzo upraszczając, można by powiedzieć, że literatura pełni w obrębie metafizyki tę funkcję co cudzysłów, uogólniony cudzysłów w obrębie metafizycznego dyskursu. Jak pisze, cytowany przez Markowskiego, Gasché, literatura: „Stanowi Inne, które nie istnieje poza, z boku filozofii, lecz wewnątrz niej, tworząc margines infrastrukturalnych możliwości” (s. 140).

Nie mogę opowiadać całej tej historii (autor tak ją zresztą, jako „opowieść”, w pewnym miejscu – na s. 181 – określa), wystarczy tylko, że wspomnę, iż przykładem na wspomnianą tutaj „infrastrukturę” jest omówiony przed chwilą „śląd” („ekonomiczny ruch śladu”). „Śladu” jako „infrastruktury” nie można, jak to mówi Markowski – „wyłożyć” (s. 110), ująć w system zdań ‘S jest P’. Można, co najwyżej, „zarysować kontury infrastruktury” (s. 110). Nie da się więc uchwycić śladu w opozycji sensu do bezsensu, bo stanowi on „ogólny warunek możliwości (a tym samym i niemożliwości) sensu” (s. 117). Literatura ów ślad czyni „zasadą” swojego pisania. Będzie to, powiada Derrida, referując postulat Bataille'a, „jakiś inne pisanie: wytwarzające ślad jako ślad. Będący śladem o tyle, o ile obecność pozostaje nieodwołalnie uchylona, odkąd padnie jej pierwsza obietnica, i o ile konstytuuje się on jako możliwość absolutnego wymazania. Ślad nie do wymazania nie jest

śladem” (*E*, s. 390). Wiemy już zatem, że „śląd” jest obietnicą obecności i natychmiastowym odwleczeniem jej spełnienia, że owa „ogólna” ekonomia ruchu (tu Bataille nawiązuje do ekonomii daru Marcela Maussa, streszczającej się w ruchu: dać – oddać, nie zatrzymywać, nie akumulować), która nim rządzi, funduje go na możliwości zupełnej utraty (nie do odzyskania, nie do opanowania w dialektycznym ruchu *Aufhebung*). U Bataille’a owo inne pisanie, pisanie śladu wpisuje się w dyskurs heglowski (mówi o tym podtytuł eseju Derridy: *Heglizm bez reszty*), niejako go przedrzeźniając (jak „suwerenność” przedrzeźnia „panowanie”): „te same pojęcia, pozornie całkiem nie zmieniając, podlegają pewnej mutacji sensu, albo raczej, choć z pozoru niewzruszone, zostają dotknięte utratą sensu, ku której się wyszlizgują i w której się pograżają bez miary” (*E*, s. 392). Infrastruktury, których działanie (ruch, „ekonomiczny ruch śladu”) Derrida szczegółowo demonstruje w drobiazgowym opisie tekstów, składają się na coś, co każe przywołać Kantowską transcendentalność, ale jest to *quasi*-transcendentalność, całkowicie wywiedziona z zasady ruchu, z ekonomii, o której tu cały czas mówimy. „Owa *quasi*-transcendentalność oznacza, że to, co «umożliwia, natychmiast uniemożliwia czystość umożliwionego zjawiska»” (s. 114).

Markowski, chcąc zawrzeć *quasi*-transcendentalność w jednej, wyjętej z dyskursu Derridy formule, wybiera słowa, „efekt inskrypcji” i właśnie nimi tytułuje książkę. Cóż to znaczy „efekt inskrypcji”? Słowa obce, kalki, domagające się tłumaczenia: „skutek wpisania”? Autorowi chodzi przede wszystkim o zinterpretowanie emblematycznego zdania Derridy: „il n’y a pas de hors-texte”. Chodzi o paradoksalną ekonomię sensu; przypomnijmy słowa już raz cytowane: „coś, co jest (znak, zdanie, podmiot, pojęcie), zawsze jest już (*déjà*) jako swoje Inne” (s. 124). Skutek wpisania: przecież wszystko nim jest, o ile jest. Słowa te oznaczałyby zatem rzeczywistość? Tyle że ujętą wobec metafizyki dywersyjnie? Zarazem można owe słowa odwrócić: wpisanie skutkuje – „wpisywanie, inskrypcja wytwarza przestrzeń jako swój efekt” (s. 118); przestrzenność wiąże się z inskrypcją, przez co należy rozumieć, że jest „funkcją pisma i śladu” (s. 118). Wpisanie, powiedzielibyśmy, zapożyczając od Leśmiana, się „przestrzeni”, a więc mówiąc inaczej, przemieszcza to samo w „nieredukowalną inność” (s. 118). Derrida stawia znak równości między owym „przestrzenieniem się” a innością. Doświadczenie literatury to doświadczenie śladu, który się „przestrzeni”, otwierając się na inne. Ale samo „doświadczenie” jest tutaj na antypodach owej bezpośredniości doświadczenia sensu, które metafizyka widziała w doświadczeniu „słyszania samego siebie mówiącego”, kiedy przestrzeń dzieląca słuchającego i mówiącego (mową wewnętrzną)

zdawała się ulegać wyzerowaniu. „Przestrzelenie się” jako doświadczenie byłoby więc doświadczeniem siebie jako innego, „swojego Innego”, które domaga się nieustającej pracy interpretacji. Nic bowiem nie jest dostępne „bezpośrednio”. Nie jest „obecne”.

Dlatego mówienie o dekonstrukcji może ją przywracać metafizyce obecności (to zarzut Derridy wobec „dekonstrukcjonizmu”), albo prowadzić nie kończące się interpretacje, „czując na sobie działanie nieubłaganego prawa wieczystego odwlekania” (s. 62). Nie mogąc bowiem asertować, nie mogąc posługiwać się zdaniami typu ‘S jest P’, zdane jest na „odgrywanie”, „inscenizację”. Dlatego, powiada na przykład Markowski, Derridowska „teoria sygnatury» – istnieje tylko pod postacią pewnej «formatywnej operacji», pewnej tekstualnej inscenizacji” (s. 287). Mówię: na przykład, bo równie dobrze dotyczy to wszelkich „teoretycznych” obszarów dekonstrukcji. Tutaj zainscenizowałem przed chwilą „teorię cudzysłowu” i „teorię śladu”.

W pewnej poważnej rozmowie padło pytanie, postawione, by tak powiedzieć, spoza horyzontu dekonstrukcji, sprowokowane zapewne powtarzającym się doświadczeniem słuchania na temat dekonstrukcji dyskursów o monotonnej regularności. Wszystkie one kluczą, owijając się wokół tez, których wygłoszenie odraczają, ciągle je dointerpretowując. By nie wspomnieć już o pracy cudzysłowu. Czym on was wszystkich uwodzi – pytano – tak, że żmudnym wysiłkiem torujecie sobie drogę po jego śladach?

Michał Paweł Markowski odpowiedziałby zapewne, że w grę wchodzi tutaj „efekt inskrypcji”, a więc owo otwarcie się na inne.

Studium Markowskiego podejmuje kwestię jednej z tych opozycji, która dała początek dekonstrukcji. Figury filozofii i literatury zamieniają się, odgrywając role Tego Samego (metafizyka) i Innego (literatura). Przewyciężając toczone od kilku dziesięcioleci spory, Markowski niejako je dekonstruuje, a raczej dekonstruuje ich podstawę, zawierającą się w opozycji filozofii i literatury. Autor wyznaje, że ważnym impulsem była dla niego książka przygotowana przez Dereka Attridge’a: *Acts of Literature*, w której po raz pierwszy zestawiono „pisma” Derridy o literaturze. Poprzedzająca antologię rozmowa redaktora z filozofem: *This Strange Institution Called Literature* jest w książce Markowskiego bodaj najczęściej przywoływanym „źródłem” (nalicyłem aż 66 odwołań). W istocie publikacja owych *Aktów literatury* uprzytomniła raz jeszcze (po książce Gaschégo), iż strategię lekturowe, spetryfikowane później w teorii literatury jako „dekonstrukcjonizm”, w dużej mierze zostały wywiedzione z prowadzonych przez Derridę odczytań tekstów nieliterackich i że „ta dziwna instytucja zwana literaturą” zajmuje w twórczości Derridy miejsce całkiem

swoiste. Powstały tedy przesłanki do zasadniczych przesunięć (a „przesunięcie” to, jak pamiętamy, sama dekonstrukcja) w obrębie zeknięcia obszaru filozofii i literatury, pozwalające pytać – z jednej strony – o „dekonstrukcję w świetle literaturoznawstwa” (tytuł jednego z rozdziałów książki Markowskiego), a z drugiej – o literaturę w świetle dekonstrukcji. Trzon książki Markowskiego to właśnie jej druga część, opatrzona tytułem: *Kwestia literatury*. Omawiając drobniawczo owe literackie lektury Derridy, autor monografii wydobywa z nich zarys „heterologii”, czyli – tu znów cudzysłów – „nauki” o innym, pod hasłem „zrozumieć innego jako innego w pewnym odniesieniu nierozumiejącym” (słowa Derridy, cytowane na s. 380).

Gdyby wolno było posłużyć się tutaj skrótem, powiedziałbym, że w rekonstrukcji Markowskiego „heterologia” stanowi pełny, teoretycznie przejrzysty, wykład alternatywnej – tu cudzysłów niezbędny – „teorii komunikacji”, albo inaczej – ukazanie, zademonstrowanie „innego” komunikacji literackiej. To też, jak sądzę, pociąga teoretyka literatury najmocniej, bowiem docieranie do owego „innego” komunikacji literackiej, gdzie miejsce autora i czytelnika zajmuje ten, który sygnuje, i ten, który daje kontrasygnatę, a stawką lektury jest „inwencja”, wynalezienie innego, każe stale ponawiać namysł nad usytuowaniem tego zasadniczego, postawionego kiedyś przez Sartre’a pytania: „Czym jest literatura?”. Podstawą jest dla autora dekonstrukcja opozycji, która każe widzieć literaturę „między idiomem a instytucją” (tytuł jednego z rozdziałów książki). Wraz z ową – inscenizowaną bardziej niż wykładaną – „teorią” sygnatury i kontr-sygnatury wkraczamy, na koniec książki, w ów fascynujący świat „późnego” Derridy, który ostatnimi laty snuje refleksję wokół na wskroś etycznych „tematów” utraty, żalu, daru, odpowiedzialności, gościnności, przyjaźni.

Jak pisać o Derridzie? – pyta Michał Paweł Markowski na wstępie swej książki, jak pisać o dekonstrukcji, jak „skonstruować taką (meta)wypowiedź na jej temat, która nie poddawałaby się jej prawom, którą można by starannie i jednoznacznie oddzielić od wpisanej w nią logiki zdarzenia. Czy jest to możliwe, zastanawiam się niemal na każdej stronie niniejszej książki” (s. 19). Upowszechnienie cudzysłowu – mówi Derrida – uniemożliwia dzisiejszym przedsięwzięciom «teoretycznym» jakiegokolwiek postulowanie by „zdjąć” cudzysłowy ze słów, przeciwnie – zakłada ono konsekwentne ich używanie. „Oznacza to ukonstytuowanie się jakiejś radykalnej metalingwistyki, która jednak wchłonie [...] ową niemożliwość metajęzyka”⁹. Nie ma dzisiaj możliwości, aby

⁹ J. Derrida *Some statements and truisms...*, s. 76.

teoria brała pod uwagę i zawierała problem własnego języka inaczej, jak tylko nakładając sama sobie ów cudzysłów, czyniąc się „teorią”. Tą właśnie drogą poszedł – jak rozumiem – Markowski, dlatego konsekwentnie odpowiada, na zakończenie wstępu (*Jak pisać o Derridzie?*), że „książkę tę można też czytać jako swego rodzaju antologię Derridowskich komentarzy do Dekonstrukcji” (s. 31). Rzecz jasna, można w tej deklaracji dopatrywać się konwencjonalnej retoryki „skromności”, można ją jednak wziąć za deklarację poważną, metodologiczną. Oznaczałaby ona wówczas, że samo cytowanie nie jest tu już jednoznaczny przywoływaniem zdań Derridy, jako „tematycznej” materii książki, ale że jest też używaniem zdań Derridy w funkcji owej (meta)wypowiedzi, której narzędziem nie jest już metajęzyk, ale właśnie „praca” cudzysłowu. „Z drugiej strony – pisze więc Markowski – nie zadowolam się (wbrew pozorom) samym cytowaniem. Konstruuje bowiem obraz Derridy, dokonuje rearanżacji jego tekstów, zgodnie z «tematem» mojej książki” (s. 31). Otóż to: „temat” migocze tutaj dwuznacznością, jest zarazem tym, co książka usiłuje sobie „poddąć” (będąc rozprawą o Derridzie i literaturze) i czemu się sama, dobrowolnie „poddaje” – deklarując się jako (re)aranżacja jego tekstów. Można by więc, *mutatis mutandis*, powtórzyć w odniesieniu do Markowskiego to, co zanotował Derek Attridge, jako charakterystykę pism Derridy o literaturze:

nie są zatem, w żadnym konwencjonalnym sensie, komentarzami, ani krytyką, ani interpretacją (hermeneutyczne szukanie znaczenia tekstu, choć uwrażliwione na zmiany kontekstu, ciągle stanowi podstawowy problem filozofii). Nie próbują one ani zlokalizować, ani ogarnąć, ani wyczerpać, ani przetłumaczyć, ani przeniknąć dzieła literackiego. Jak wszystkie wartościowe odczytania literatury, usiłują wywołać wobec tekstu zdziwienie (lub może dziwne oswojenie), nie proponując zredukowanej i uproszczonej wersji tego tekstu, ale taką, która wznosi się na właściwy mu stopień trudności. Nie przedstawiając po prostu działań podmiotu na przedmiocie, lektury owe (wraz ze wszystkimi pozorami podmiotowości i działania, jakie mogą wytwarzać) są zarazem czytane przez teksty, które czytają.¹⁰

Zamiast rozstrzygać dylemat kolejnej pary cudzysłowów, kolejnego stopnia meta-, czyli kwestię: jak pisać o Markowskim piszącym o Derridzie, także „recenzent”, jak widać, raczej inscenizuje cytaty, zdając się na pracę cudzysłowu. Nie chcąc pisać o Markowskim, ale raczej dla Markowskiego, poddaje się jego tekstowi. Czytam Derridę wraz z nim, ale i – kontr-sygnując jego lekturę – niezależnie od niego. Cytuję De-

¹⁰ D. Attridge *Introduction: Derrida and the Questioning of Literature*, w: *Jacques Derrida. Acts of Literature...*, s. 16–17.

rridę, dopisując niejako suplement o cudzysłowie i „ekonomii ogólnej”, dodając coś, czego mi u Markowskiego brakuje (ważnej dla mnie Derridowskiej lektury Bataille’a), a zarazem dodając argumenty na potwierdzenie jego dyskursu. Odpowiadam na tekst Markowskiego, ale i czynię siebie za jego tekst odpowiedzialnym.

Krzysztof Kłosiński